

Tadeusz Bernadzikiewicz

Na tatrzańskich urwiskach

Nowe zdobycze polskich i węgierskich taterników

Wyprawy zamorskie

Nasilenie polskiego ruchu wysokogórskiego staje się z roku na rok silniejsze. W czasach ostatnich taternicy polscy rozwinieli ożywioną działalność od razu na kilku frontach. Po znakomicie udanej wyprawie w Andy, przyszła wyprawa w góry Marokka, uwieńczone gruntownym zwiedzeniem całego Atlasu. Jest rzeczą charakterystyczną, iż mimo wytrwałych poszukiwań nie udało się Polakom znaleźć ani jednej ścieżki „nadzwyczaj trudnej”, która odpowiadałaby trudnościami chociażby południowej ścianie na szczyt Zamarłej Turni. Toteż zdobywanie dziewiczych jeszcze gór Atlasu nie przychodziło polskim taternikom zbyt trudno. Jednocześnie kilku naszych alpinistów wzięło udział w wyprawie polarnej na daleki Spitsbergen, zorganizowanej z inicjatywy Koła Wysockiego przy Oddziale Warszawskim Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. I tutaj nie brak było poważnych sukcesów.

Ale i w Tatrach

Wyprawa w Atlas oraz wyprawa na Spitsbergen osłabiły poważnie kadry taterników, którzy zjawili się w tym roku na tatrzańskim posterunku. Jeśli dodamy do tego fatalne warunki atmosferyczne, które swój szczytowy wyraz znalazły w pamiętnej kłesce powodzi, a które w ciągu czerwca i lipca uniemożliwiały w zupełności wspinaczkę — całkiem zasadnie można było oczekiwać kompletnego zastoju w ruchu wysokogórskim w Tatrach. Obawy powyższe okazały się jednak płonne. Sezon taternicki, rozpoczęty właściwie dopiero w początkach sierpnia, zaznaczył się od razu pierwszorzędnie zdobyczami, przypominając pod tym względem wspaniałe lato 1932 r., kiedy to ekspansja polskiego ruchu taternickiego była szczególnie wielka. Problemy, jakie rozwiązano w roku obecnym, w szeregu wypadków niewiele ustępują najpiękniejszym zdobyczom tego okresu, stoją zaś na ogół znacznie wyżej od wyników zeszłorocznych. Wprawdzie, jeśli chodzi o ilość osiągniętych „pierwszych wyjść”, sezon bieżący nie przedstawia się zbyt imponująco (w sierpniu ok. 30 problemów wobec blisko 60, rozwiązanych w ciągu r. 1933), jednakże ich jakość oraz rozmach, jaki wykazali zdobywcy, zasługują na najwyższą pochwałę. W żywym ruchu sportowym, jakiego świadkami byliśmy w Tatrach w sierpniu r. b. nader wybitny udział wzięli niektórzy taternicy węgierscy (w szczególności B. Duchon i I. Zamkowszki). Polscy wspinacze, rzecz jasna, nie pozostali w tyle, jednakże przeważała ich była w tym roku jakbydy mniejsza, niż w latach poprzednich.

Nowe przejścia

Wśród najpiękniejszych zdobyczy zasługuje na wyróżnienie przejście słynnej wschodniej grani Zadniego Mnicha, pionowego uskołu, który pokonywany był dotąd wyłącznie w dół, przy pomocy zjazdu na linie. Zdobycy tego groźnego urwiska nie obeszli się niestety bez sztucznych ułatwień, bijąc w ścianę ok. 16 haków, użytych następnie jako bezpośrednia pomoc przy wspinaczkach (do zakłania petli i t. p.). Przejścia tego dokonali w dniu 9 sierpnia Donath, Kürthy, St. Motyka i I. Zamkowszki, a więc z wyjątkiem St. Motyki wyłącznie taternicy węgierscy. Należy podkreślić, iż uskok Zadniego Mnicha stanowił ostatni odcinek głównej grani Tatr, niezdobyty jeszcze przez człowieka.

W końcu sierpnia „zrobiony” został Ostry Szczyt kantonem zachodniej i południowej ściany, pionowe urwisko, cztery razy w bieżącym sezonie atakowane bez rezultatu (St. Motyka, J. Sawicki i I. Zamkowszki, 27.8.). Listę tę uzupełniają: Zadnia Baszta — nową drogą na wschodniej ścianie (Z. Dąbrowski i I. Zamkowszki, 3.8.), Mała Kończysta wschodnia

ścianą (J. Gnojek i J. Sawicki, 8.8.), Gierlach południowo-zachodnim kominem (J. Gnojek i J. Sawicki, 1.8.), nowa droga na północnej ścianie Baniastej Turni (J. Kacjan, J. Sawicki i I. Zamkowszki, 29.8.), Mieguszowiecki Szczyt nad Czarnym, I wyjście poprzez „Kazalnicę” (Z. Korosadowicz, J. Staszal i tow., 8.), I wyjście na Durny Szczyt środkiem wschodniej ściany (T. Bernadzikiewicz, J. Gnojek i T. Pawłowski, 26.8.), I wyjście południową ścianą na Papiusową Turnię I (B. Duchon, G. Kegel i B. Panczel, 9.5.), I wyjście północną ścianą na Turnię nad Zielonym Stawem Kiezmarskim wg terminologii niemieckiej Grünseeturm — (B. Duchon i M. Nitsch, 8.7.) i wiele innych.

Podobnie, jak w roku poprzednim, szereg śmiałych prób nie zostało uwieńczyonych powodzeniem. Wymienimy tu tylko kilka bardziej głośniejszych. Tak więc zwycięsko ostały się podejmowanym na nie atakom m. in.: filar północnej ściany Kozich Czubów (Z. Korosadowicz i tow., VIII), Terjańska Przełęcz Niżnia wprost od północy (J. Sawicki i I. Zamkowszki, 23.8.), południowo-wschodnia ściana Małego Kołowego, jeden z najpiękniejszych, nierozwiązanych dotąd problemów tatrzańskich (H. Napieralska, T. Bernadzikiewicz, B. Chwaściński i J. Gnojek, 31.8.).

Powtórzenia

O wielkim rozmachu i inicjatywie polskich wspinaczy świadczy podjęta w końcu lipca próba przejścia całej grani Tatr Wysokich od Przełęczy pod Kopą, zakończona po 11 dniach wspinaczki — spowodu fatalnej pogody na szczycie Rysów (P. Fogel i J. Staszal). Wśród innych bardziej wybitnych powtórzeń „zrobionych” już dawniej ścian i grani tatrzańskich na leży tutaj wymienić: Kosi Wierch t. zw. filarem Leporowskiego (W. Brach, J. Gnojek i Z. Wójcik, V), II przejście południowej ściany Wołowej Turni (T. Bernadzikiewicz i T. Pawłowski, 23.8.), Zadnią Basztę wschodnią ścianą (T. Bernadzikiewicz i T. Pawłowski, 21.8.), II i III przejście południowej ściany Smoczego Szczytu (T. Bernadzikiewicz i T. Pawłowski, 22.8.; H. Napieralska, B. Chwaściński i J. Gnojek, 23.8.), przejście grani Wiedel od Kiezmarskiego Szczytu po Łomnicę (Brüll i J. Zamkowszki, 26.6.) i t. d., i t. d.

Bardzo modną wspinaczką na południowej stronie Tatr stała się piękna, południowa ściana Papiusowej Turni, zdobyta przez taterników węgierskich w maju r. b. Od tego czasu przebyto ją także osiem razy.

Na uwagę zasługuje również I samotne wyjście na Rumanowy Szczyt z Doliny Kaczej (T. Bernadzikiewicz, 8.8.). Natomiast niepowodzeniem została zakończona próba II przejścia słynnym Kominem W. Stanisławskiego w ścianie Małego Kiezmarskiego Szczytu. (B. Duchon i J. Gnojek, 30.8.). Jest to podobno najtrudniejsza droga tatrzańska, której sforsowanie kosztowało zwycięzców ok. 20 godzin wspinaczki. Obecnie Komin okazał się całkowicie mokry i — skutkiem tego — niedostępny.

Wypadki

Wypadków taternickich w ścisłym tego słowa znaczeniu w roku obecnym właściwie nie było. Jedynie bowiem częściowo charakter taki przynają możemy tragedii ś. p. Fiedlerowej na Zabiej Przełęczy, spowodowanej karygodną nieuwagą turystki. Jak wiadomo wyjście na Zabiją Przełęcz od północy jest dość niebezpieczne ze względu na wielką kruchość skały. Ta właśnie okoliczność stała się bezpośrednią przyczyną katastrofy. Idący przodem przewodnik, natrafiający na kruche partie skalne, zrzucił głaz, który ugodził w głowę Fiedlerową. W chwili gdy mimo przestrzeń towarzysza lekkomyślnie wychyliła się ze

swego bezpiecznego schronienia. Ponieważ turyści asekurowali się wzajemnie liną, fakt ten niemal nie spowodował śmierci obydwu osób: Fiedlerowa, odpadając od ściany, pociągnęła za sobą przewodnika, który jedynie z trudem zdołał utrzymać się na skale.

Drugi śmiertelny wypadek zdarzył się na Łomnicy, spotykając również kobietę ś. p. Suszyńską z Warszawy. Turystka natrafiła w czasie wycieczki na wyjątkowo ciężkie warunki atmosferyczne i po trzydniowej walce ze mgłą, deszczem i głodem, zmarła z wyczerpania w pobliżu szczytu na zwykłej ścieżce turystycznej!

Echa tragedji

Sezon bieżący przyniósł również dalekie echo znanej tragedji W. Stanisławskiego i J. Wojnara na turni Kościółek w dol. Batorywieckiej. W dniu 11.8. r. b. turnię tę zwiedzili J. Gnojek i J. Sawicki, schodząc jej zachodnią ścianą, Kominem, w którym śmierć ponieśli Stanisławski i

Wojnar. W Kominie tym znaleźli oni kawałek gumy, oraz 2 pantofle wspinaczkowe, na piargu zaś pod ścianą — skarpetkę zmarłych tragicznie w r. z. taterników. Na podstawie tych okoliczności oraz dokładnego zbadania terenu, J. Gnojek i J. Sawicki stwierdzili, iż Stanisławski i Wojnar nie przeszli więcej, jak 30 metrów Kominą. Upadek pierwszego ze wspinaczy (Wojnar) nie przekroczył więc 70 metrów (30 metrów w Kominie, 40 metrów w dół po piargach). Katastrofa nastąpiła najprawdopodobniej wskutek urwania się kruchego chwytu. Jest rzeczą ciekawą, iż ta część Kominą, którą mogli przebyć Stanisławski i Wojnar, została określona jako najwyżej „trudna”, górna zaś część drogi, może być (w wyjęciu) maximum „bardzo trudna”. Jak stąd wynika, katastrofa Stanisławskiego nastąpiła w terenie, który dla tego znakomitego taternika nie przedstawiał właściwie żadnych trudności.

„Król, Francji, Karol, niech żyje!”

Na próbie „Ludwika XI” w Teatrze Narodowym

W tej chwili jest ciemno. Tylko po omacku można doszukać się dłoni Milazewskiego, który siedzi obok reżysera Borowskiego, obserwuje próby, czasem dla wygody aktorów zmienia tekst i w sekundę jeden wiersz przeleje w drugi inny.

Stylu — tak jest zawsze na próbach w Narodowym — huczę głos dekoratora prof. Jarockiego. — Rozświetlamy powoli! Tarcza sceny obraca się, wśród mglistego, niepewnego światła przejeżdżają kamienne arkady i łuki, w zwałiskach dekoracji przeblisnął ja płomień świecy.

— Panie Morawski, zapalamy kanał. Tylko wolno — wolno!

Scena zatrzymała się. Pod wielkim złotym krzyżem, wspierającym się jednym ramieniem na herbem niebieskim polu z liljami Francji, stoi łożo. Na paru stopniach, wzniesione, wystylizowane rysunkiem w ostre zakończenia, podobne więcej do tronu, niż do sprzętu sypialni. Można powiedzieć, że jest to wezgłowie, na którym królom przysłałoby umierać, umierałoby bowiem jak pod baldachimem, rozwieszonym w największej sali zamku.

A król Francji, Ludwik XI, właśnie kona. W przyległej komnacie usiłuje królewskim rozkazem powstrzymać śmierć. Na dworze snują się podejrzenia. Czy też czasem nie działała trucizna, czy do niedawnego zamachu nie przybył nowy. Książę Nemours, królewski wróg, w więzieniu. Nakazano go ściąć, ale razem z „osłabnięciem” zdrowia Ludwika XI, słabnie siła jego rozkazów. Studzy królewscy już bardziej lekają się odpowiedzialności za popełnione zbrodnie, za przelewanie krwi, mającej łagodź królewski gniew, niż samego gniewu króla. Francja żyje ciągle, a król żyje dziś, umiera jutro. Ciche spory i narady. Czy umrze? A jeśli wyzdrowieje i zostanie wyroki nie wykonane? Więc ściąć. Nemours? A jeśli ściąć i razem z głową? Nemours zabierze śmierć i głowę króla? Kto wtedy osłoni oprawców!

Szepty. Więc jeszcze wystarczy jeden atak? O tak, to trup prawie. „Podobny do mary straszliwej” ubrał się w gronostaje, stanął z mieczem w dłoni i myśli, że tem śmierć odstrasz. Ci-cho! Panowie, szanujcie boleść królewskiego syna!

Delfin (młody Roland) modli się na uboczu sceny. Powstaje z kłęczka, przynosi mu fałszywe wiadomości. Zapewniają o polepszeniu, ale są wbrew słowom oznaki postępu choroby — dwór zbliża się do przyszłego króla. Otaczają Rolanda.

Gdy Delfin wyszedł, znów zaczyna się spory, twórci i targi.

I obliczanie — kiedy umrze? A możeby tak zgoni przyspieszyć. Leka się śmierci — powiedzie mu prosto z mostu, że to ostatnia godzina. Skona z samej trwogi. Lec, jeżeli nie skona? Jeżeli śmieć dostanie się w jego ręce?

Na pierwszym planie sceny stoją dworacy: Krzewiński, Chmielewski, Justjan. W dali — już za świecznikami, migocącymi złotym płomieniem świec, od początku ostatniego obrazu, ślania się Węgrzyn. Twarz ma zmęczoną, jakby żartat bezsensu, a pochyła głowę — usta skrzywione konwulsyjnie, w oczach wyraz znużenia, przeblisnął ślepej trwogi, chytrą, złośliwą i obłąkanie. Ręce opiera na żelaznym mieczu.

Król Ludwik XI.

Pół - demokracja, pół - despot, niepowstrzymany zbrodniarz, równocześnie pobożni, czciciel prawa i... czciciel królewskiego despotyzmu. W obronie ludu karze arystokrację, dworaków, książąt i hrabiów, w obronie swej zachcianki krzywdzi lud. Syna posadza o chciwość korony, odrzuci od siebie swego następcę, weszły we wszystkich wroga i nagie chciałby we wszystkich znajdować przyjaciół.

Justjan: To on, król... panowie, król!

Zbliża się Węgrzyn. Idzie pod ciężarem królewkości i ciężarem roli, która może rozstrząść go tak, jak rola Don Juana. Gdy rozgrywano początkowe sceny dwunaste go obrazu, gdy nawoływano o inne światło, robiono poprawki, powtarzano fragmenty ról — stylu, w kulisach, ciagle widać było postać Ludwika XI — Węgrzyna oparł się na mieczu. Stał martwo. Kiedy miało nastąpić jego wejście, włókł się ku scenie, ciągnąc za sobą miecz. Jego duch ciążył tu — na pierwszym planie, grającym dworakom. Tam, w głębi on sam wyglądał jak duch. Jeżeli Borowski chce scenę przerobić raz jeszcze, Węgrzyn powraca na swoje miejsce. Powraca takim samym krokiem, jak przyszedł. Inni aktorzy, w przerwie między jedną kwestią, a drugą rozmawiają, z reżyserem, pytają się, mówią zwyczajnym głosem. Węgrzyn milczy. Jest w tej chwili poza rolą taki sam, jak w roli.

Król! Oparł się o łożo, postawił miecz, przechyla się w tył. Leży i charczy. Wzywa jednego z dworzan i każe czytać spisane przez siebie uwagi o rządzie państwem.

— A Nemours?

Strach. Król: Spelnąć rozkazy!

W chwilę potem łapie go w swe szpony ostatni atak. Twarz Węgrzyna wykrzywia się grymasem, z ust cieknie ślina. Lekarza! Doktorze, doktorze ratuj! Wali się w

Na ekranach

„Skradziono człowieka”

(„Majestic”)

Kto choć trochę orientuje się w filmie, temu nie może być obce nazwisko Eryka Pommera, jednego z twórców potęgi kinematografii niemieckiej, a w szczególności wielkiej wytwórni „Ufa”. Po przewrocie politycznym Pommer musiał emigrować z Niemiec. Pierwotnie osiedlił się w Paryżu, gdzie wytwórnia Fox zaangażowała go na kierownika swojej produkcji europejskiej. Plany zrobiono wielkie. Amerykanie pieniędzy nie skąpili. Dziś wiemy już, że z tych planów zostaną okrucieństwa. Ten przydługi wstęp konieczny jest dla zrozumienia genezy filmu „Skradziono człowieka”, bodaj pierwszego ze wspomnianego cyklu. Kierownik produkcji: Eryk Pommer. Reżyser Max Ophus. Więc choć aktorzy (Henri Garat, Lili Damita i inni) gadają po francusku — film francuskim nie jest. Nie pomaga nawet autentyczne widoki z Riwjery.

Nie znaczy to, aby całość była zła. Na to Pommer i jego współpracownicy są zbyt wytrawnymi filmowcami. Montaż, reżyseria, cały szereg pomysłów fachowych i technicznych jest pierwszorzędny, ale cóż, kiedy w tym filmie niema... duszy. Ani to nie jest lekka francuska satyra na panujące stosunki konkurencyjne w świecie finansowym, ani ciekawy film kryminalny niemiecki, ani sentymentalna opowieść amerykańska o przewycięzającej wszystko miłości awanturnicy dla powroźnego jej dozoru więzienia — bankiera. O! potrochu wszystko i... nie.

Pozatem wadą filmu jest ubóstwo treści. Stąd też wynika pewne dlużyny i „zastawanie się” akcji w szczegółach. Pomimo tych braków nie jest wykluczone, że obraz ten zyska powodzenie dzięki sympatycznej, choć zbytniej inteligencji nie odznaczającej się grze Henri Garat, mającego podobno w Polsce wiele zwolenników. Lili Damita mniej interesująca, niż w poprzednich filmach.

Nad programem groteska rysunkowa Terry i Mosera, przepięknie sfotografowany reportaż Fox'a z wyspy Jawy, oraz wspomniany w poprzednich recenzjach dodatek polski z laureatami konkursu „Kina”. Ponadto ciekawy tygodnik „Paramount”.

„Viva Villa!”

(„Atlantic”)

Dwa dni temu przypinałem już nie latkę, ale dużą łatę przedstawicielstwu „Metro - Goldwyn - Mayer” za

wypuszczenie w Polsce filmu „Twa usta kłamią”. Dziś zawołam jej głos: „Viva!” za pyszne widowisko kinowe, jakim obdarzyła nas w postaci filmu o legendarnym bandycie - bojowniku o wolność (bywają i tacy!) Meksyku: Pancho Villi.

Zapewne osobom nerwowym nie poleca się tego zgiełku, rwetesu, wrzawy bitewnej, widoku licznych rannych i zabitych, słowem całego obrazu bezlitosnej walki na śmierć i życie między zbuntowanymi peonami a ostatkami hiszpańskich kolonizatorów. Kto ma jednak nerwy w porządku, nauczywa dowoli wspaniałych scen masowych, rozgrywających się pod promieniami południowego słońca, tętniących galopem koni, pełnych ruchu, zrealizowanych z rozmachem godnym największych filmów przez Jacka Conway'a, którego znamy już z filmu: „Al-24 zatonała”.

Co jednak wybija się niewątpliwie na plan pierwszy całego widowiska (bo jest to w najlepszym tego słowa znaczeniu — widowisko), to naprawdę świetna kreacja aktorska Wallacea Beery w roli tytułowej. Choć znamy go już z wielu innych ról (ostatnio w „Przedmieściu”), mamy znów wrażenie, żeśmy odkryli jakąś „rewelację”. Pod wysokim sambre, szerokoimi kresami opatłającą głowę Villi wieńcem cienia, w dość okragłym owalu jego twarzy rozgrywa się takie cuda i cudenia gry filmowej, że one same wystarczą za cały film. Co za skala wyrazów! Od rozjuszonej, mściwej bestji, poprzez rozkapryszonego dziecka, do gołębiej niemal tkliwości i niewinności wobec ukochanego prezidenta — Madero, — od płochego kobiecizna, poprzez nieustraszonego wojaka, do bohatera narodowego, — wszystkie stany psychiczne, wszystkie sytuacje zewnętrzne, w jakich się znajduje, natychmiast nieomylnym refleksem zmieniają wyraz tej naprawdę w swoim rodzaju genialnej... geby.

Przy takim partnerze inne role schodzą oczywiście do poziomu epizodów. Wykonane są — poprawnie. Tłumy statystów zapewniają niemal ustawicznie ekran, stanowiąc tło dla osoby Villi. Dobra jest postać reportera, przypadkowo zaplątanego w działania rewolucyjne. Aby uprawdopodobnić jedną z jego kacek — Villi szaleńczym atakiem zdobywa całe miasto. To się nazywa przyjaźni! — Strona techniczna filmu doskonała. Zdjęcia bardzo piękne.

Nad program tygodnik aktualności Fox'a i krótkometrażówka krajowa z udziałem laureatów konkursu fotograficzności „Kina”.

A. R.

Tydzień książki

BEHR W. dr.: Skleroza — zwalanie naczyń, zapobieganie, leczenie, środki skuteczne. Dieta. Jak u zdrowie zwalanie naczyń. 8° str. 42. Warszawa 1934. Stowarzyszenie Pracowników Księgarskich. Zł. 2.80.

BIEGELEISEN Z. W.: Szkoła a gospodarstwo narodowe. Analiza rynku pracy ze stanowiska szkolnictwa zawodowego. Górnictwo i hutnictwo. Tom I. 8° str. XXIII + 254. Lwów 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 10.—

DĄBROWSKA MARJA: Noce i dnie. Powieść. Cz. IV. Wiatr w ozy, cz. I, II. 8° str. 310, 336. Warszawa 1934. Towarzystwo Wydawnicze. Zł. 7.50.

DEBICKI TADEUSZ: Z dziennika marynarza. Na pokładzie „Lwo-wa” z Gdańska do Rio de Janeiro i spowrotem. Wyd. 2-gie z rys. 8° str. 94. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 2.40.

JODŁOWSKI ST.: Ćwiczenia grammatyczne, ortograficzne i słownikowe dla III kl. szkoły powszechnej. Podręcznik metodyczno-praktyczny dla nauczycieli. 8° str. 111. Lwów 1934. Książnica-Atlas. Zł. 2.—

Z. Broncel.